



Andrzej Boruszewski

The Łoś

Andrzej Boruszewski

# The Łoś

© Copyright by Andrzej Boruszewski & e-bookowo 2013  
Grafika na okładce: Justyna Stankowska  
ISBN 978-83-7859-194-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

## Rozdział pierwszy

Nie, nie śniła mu się, w każdym razie nic mu o tym nie wiadomo. Dlaczego więc o niej pomyślał, gdy się obudził? Przecież nie z powodu wyrzutów sumienia, bo tych nie powinien mieć. Nie powinien, czyli ma? Do diabła z tym. Jest środek lata, dokładnie dwudziesty lipca, przez ostatnie dziesięć lat nikt nie zginął, nikogo nie zamordowała żadna stara baba i żaden pieprzony łoś – to są wystarczające powody, żeby się uśmiechnąć do pękniętej żyłki Tomczewskiej. Na sali sądowej doprowadził ją do takiego stanu, że dostała wylewu i jeśli teraz w ogóle gdzieś mieszka, to w ośrodku leczniczo-rehabilitacyjnym. Jedyne, co może zrobić, to podciąć komuś nogę albo napluć do kawy. Nie udowodnił kobiecie winy, ale przynajmniej pozbył się jej z miasta. Łosia chyba też, skoro od tego czasu w Typinie panuje spokój. W Typinie tak, ale nie w jego głowie. To przez ten sen. Grzmoty, błyskawice, jakieś krzyki, wrzaski, szcęk żelaza... Nie miał pojęcia co to było. I po to po aferze z Tomczewską zgodził się iść na emeryturę, żeby teraz psuły mu humor takie głupie sny?

W przeciwieństwie do Judyma, Grzegorzczuk obudził się w wyśmienitym nastroju. Była to swego rodzaju ironia losu, bo to Judym od dziesięciu lat był emerytowanym policjantem, a Grzegorzczuk od roku podkomisarzem w stanie jak najbardziej czynnym, a nie odwrotnie, więc to temu drugiemu powinny spędzać sen z oczu rozkładające się

ciała, niewykryci sprawcy najokrutniejszych morderstw i tym podobne historie, a największym zmartwieniem tego pierwszego powinno być to, czy rybki dzisiaj będą brały, czy nie. Powód wystąpienia tej anomalii przyrodniczej był bardzo prosty: odkąd Judym poszedł na emeryturę, Typin zaczął przypominać miasteczko z filmu „Wiosna, panie sierżancie”. Z jedną wszakże różnicą. W przeciwieństwie do sierżanta Władysława Lichniaka, podkomisarz Jan Grzegorzczak był w posiadaniu żony. Chociaż, prawdę mówiąc, w tej chwili to ona posiadała jego. On był jej wierzchowcem, a ona jego jeźdźcem. Zapewne dogalopowaliby do celu, gdyby nie zadzwonił telefon.

- Grzegorzczak, słucham.
- Siedzi szef?
- Leżę.
- To i lepiej.
- Nie dowcipkuj, gadaj o co chodzi.
- Zapraszam na pizzę na Ułańską.

W głosie aspiranta Michalaka było coś takiego, że podkomisarz go nie wyzwał za głupie żarty, lecz zapytał:

- Stało się coś?
- Niestety.
- Coś poważnego?
- Zdziwi się szef, jak bardzo.
- Zaraz tam będę.

Po tym oświadczeniu Grzegorzczak szybko się rozłączył.

Powodem były otwierające się do protestu usta Barbary, jego żony. Od ciekawości, co się stało, większy był lęk, że jego podwładny usłyszy jej pełne wyrzutu słowa „ależ misiaczku, nie możesz mi teraz tego zrobić”.

Na przeklinanie Grzegorzcyk nie chciał tracić czasu, więc przeklinał myjąc się i ubierając. Gdy wychodząc z domu trzasnął drzwiami, miał gdzieś, czy przerwał komuś sen przyjemny, czy przeciwnie. Opanował się dopiero na pierwszym piętrze, ale tylko dlatego, że jego blisko czterdziestoletniemu ciału zabrakło siły do szybkiego, a więc i głośnego zbiegania po schodach. Dokąd zresztą miał się śpieszyć? Jeszcze dziesięć minut temu był głupi i miał matkę, teraz jest już tylko głupi, nadzieję na drugie dziesięć lat spokoju diabli wzięli.

Przed dwupiętrowym domem, pod który po dwudziestu minutach zajechał, stał już radiowóz i karetka pogotowia. Po lewej stronie budynku wybudowała się niedawno nieduża hurtownia papiernicza, a po prawej dziczało dziesięć arów czekając na chętnego, który by je kupił i też coś na nich postawił. Z tyłu rosło sobie spokojnie osiem jabłoni, pozostałość po sadach, którym jeszcze dwadzieścia pięć lat temu nawet się nie śniło, że zostaną wycięte w pień, a na ich miejsce budowlańcy zasadzą betonowe domy i rozleją asfaltowe ulice. Te ostatnie bloki, jakie w Typinie postawiono z wielkiej płyty, rosły dumnie po drugiej stronie ulicy.

Lokal, do którego Michalak zaprosił Grzegorzcyka, mieścił się na parterze budynku i miał więcej wspólnego ze zwyczajną piwiarnią niż pizzerią. Mimo to właściciel nazwał go *Pizzerią Ułanów*. Drugi człon nazwy brał się

z adresu i nazwiska właścicieli (Łan), pierwszy z czegoś, po co mało kto tutaj przychodził, czyli z faktu, że w menu widniał płaski placek posypany pieczarkami, serem, cebulą i – w ilościach ascetycznych – upstrzony kawałkami szynki. Ten placek z jakiegoś powodu nazywano tu pizzą. Wystarczyło przeskoczyć przez trupa leżącego przed drzwiami i już można było zamówić sobie coś takiego albo coś innego, co w sumie nie miało większego znaczenia ani dla podniebienia klienta, ani dla jego żołądka. Podkomisarz kiwnął głową sanitariuszowi pilnującemu nieboszczyka i przeskoczył, ale nic nie zamówił. Rozejrzał się szybko po lokalu, podszedł do Michalaka i witając się z nim, zapytał: – Coś jeszcze, czy tylko tych dwóch? – Miał na myśli trupa przed drzwiami oraz tego leżącego między stołami i krzesłami, którego zobaczył przed chwilą.

– Jest jeszcze trzeci, tutaj – za aspiranta odpowiedział ktoś, kogo nie było widać. Podkomisarz od razu domyślił się dwóch rzeczy: że głos należy do doktora Zarofa i że doktor jest za ladą barową, zapewne przy zwłokach. Podszedł tam, a wtedy doktor podniósł się i podał mu rękę na powitanie.

– Wiesz już coś? – zapytał Grzegorzcyk.

– Nie wiem. Nie wiem, czy wiem – odpowiedział Zarof, a ponieważ podkomisarz milczał, mówił dalej: – Wygląda na to, że zabił ich piorun.

– Jak to, piorun? – policjant bardziej oburzył się niż zdziwił. – Piorun w budynku?

– No właśnie. Dlatego powiedziałem, że nie wiem, czy wiem.

– A co wiesz?

– Że wszyscy trzej zginęli od porażenia prądem i że mają ślady oparzeń przypominające Figurę Lichtenberga.

– Co to za czort?

– Coś, jakby oparzenie w kształcie paproci. Ci mają właśnie coś takiego. Zwykle są to znacznie większe ślady, ale jednak.

– Ale jednak piorun? – nie dowierzał Grzegorzcyk.

– Wnioski zostawiam waszym specom. I pozwól, że się pożegnam. Nic tu po mnie, ich sercom już nic nie pomoże.

– Cześć.

– Cześć.

Gdy doktor wyszedł, Grzegorzcyk zapalił papierosa, podszedł do aspiranta Michalaka i zapytał: – Techników wezwałeś?

– Jasne. I posiłki. Zaraz będziemy tu mieli tłum gapiów.

Nie licząc dwóch nieżywych mężczyzn, w lokalu był tylko podkomisarz i młodszy od niego zarówno stopniem, funkcją, jak i wiekiem Michalak, dobrze zapowiadający się aspirant. Rozglądali się nieśpiesznie, jakby od niechcenia, Grzegorzcyk żując gumę, a jego podwładny paląc papierosa. Drewniane stoły nie stały równo, niektóre krzesła były poprzewracane. Po rozlanym piwie i kawałkach pizzy można się było domyślić, przy którym stole siedzieli ostatni klienci *Pizzerii Ułanów*.

– Co szef o tym myśli? – zapytał aspirant.



– Że ten na zewnątrz też tu był, ale uciekł.

– Nie za daleko.

– Padł rażony piorunem – powiedział teatralnym głosem Grzegorzycyk.

– Nie wierzy pan w to?

Podkomisarz prawie się zdenerwował.

– A ty wierzysz?! Wierzysz, że w piękną lipcową noc wpadł do pizzerii piorun i dwóch ludzi zabił na miejscu, a trzeciego dopadł przy próbie ucieczki?

– No, taka piękna to ona znowu nie była, trochę padało. Zapowiadali nawet burzę.

– Zapowiadali, zapowiadali! A była? O ile wiem, tylko padało, a deszcz nie zabija.

– No nie – nieśmiało odparł aspirant, ale podkomisarz w jego głosie usłyszał inne treści niż te, które wyraziły słowa, bo powiedział:

– Nawet nie myśl, że będę rozpatrywał taką hipotezę. Powiedz lepiej kto znalazł zwłoki.

– Żona właściciela. To ten za barem. Andrzej Łan. Przyszła wczesnym rankiem, gdy się obudziła, a jego wciąż nie było. Często siedział z klientami do późna, ale nigdy do rana. Zeszła, zobaczyła, zadzwoniła na pogotowie, oni do nas...

Podkomisarz przerwał wyliczankę: – Gdzie jest teraz?

– W domu. To znaczy na górze, bo oni tu mieszkają. Zarof dał jej coś na uspokojenie i zadzwonił po kogoś

z rodziny. Zabronił jej tu przychodzić.

Grzegorzycyk pochwalił Michalaka, ale tylko w myślach. Od czasu do czasu łapał się na tym, że traktuje podwładnych, jak kiedyś jego traktował Judym. W milczeniu podszedł do ciała leżącego między dwoma stolami i ukucnął. Mężczyzna leżał na wznak, ramiona miał rozrzucone na boki, bluzkę na krótki rękaw rozpiętą całkowicie. Nieowłosiona klatka piersiowa nosiła wyraźny ślad oparzenia oraz coś, co od biedy przypominać mogło tatuaż w kształcie małej paproci.

Domyśliwszy się, co teraz podkomisarz chciałby wiedzieć, Michalak powiedział: – Ten za barem dostał w czoło.

– A ten na dworze w plecy?

– Zgadza się.

– Wszyscy trzej mają te paprotki?

– Jakby się umówili.

– Znasz któregoś?

– Nie – odparł aspirant i uprzedzając pytanie podkomisarza, powiedział: – Dokumenty i komórki zabezpieczyłem.

– Jest tam coś ciekawego?

– Jakieś zdjęcia rodzinne, trochę muzyczki, raczej do niczego nam się to nie przyda. Chyba, że tego na zewnątrz ktoś skroił, bo przy nim nie znalazłem ani dokumentów, ani telefonu. Jeśli...

– Trzeba przeszukać teren i śmietniki. Nie zdziwiłbym

się, gdybyśmy znaleźli portfel bez kasy, ale z dokumentami.

Aspirant wrócił do przerwanej myśli: – Jeśli ktoś mu skroił komórkę, to może próbować ją sprzedać.

– A my możemy mieć szczęście i dobrać się do tego, kto był tu przed nami – o to ci chodzi?

– Nie inaczej, szefie.

Grzegorzycyk uśmiechnął się bardzo, bardzo delikatnie i rzekł: – Do otwarcia sklepów jest jeszcze sporo czasu. Weźmiesz kogoś do pomocy i przeszukacie okolice. Daj mi dokumenty tych dwóch. Ktoś musi powiadomić rodziny. Przy okazji zapytam o tego trzeciego. Być może to ich kumpel.

Nic więcej nie było do powiedzenia i zrobienia. Pozostało im czekać aż przyjadą technicy i liczyć na to, że coś znajdą. Byli skazani na wiedzę anatomopatologa i spostrzegawczość okolicznych mieszkańców. Przed wszystkim jednak musieli mieć dużo szczęścia, bo bez niego najlepszy sprzęt, najlepsze oko i najlepsze ucho nie zdadzą się na nic.

Równy z technikami przyjechał prokurator Cichocki.

– Co tu mamy? – zapytał podając rękę najpierw Grzegorzycykowi, a potem Michalakowi.

– Wygląda na to, że potrójne morderstwo.

– Morderstwo? Na razie, panie podkomisarzu, to ja tu widzę tylko trzy trupy, jeśli mamy – a powinniśmy – trzy mać się faktów. Był tu już jakiś lekarz?

– Tak, Zarof.

– Powiedział coś?

Grzegorzycy kiwnął głową Michalakowi, żeby przejął rozmowę.

– Według niego mógł to być piorun.

– A nie mówiłem? – ucieszył się Cichocki.

– Panie prokuratorze – do rozmowy wrócił Grzegorzycy – bądźmy szczerzy, skąd w pizzerii miałby się wziąć piorun?

– O to pioruna pan pytaj, ja się na piorunach nie znam.

– To może, zanim definitywnie zamkniemy dochodzenie, niech medyk sądowy zbada ciała?

Cichocki zagryzł dolną wargę. Po kilku sekundach wypuścił ją na wolność i rzekł: – Dobra, będzie sekcja. Macie trzy dni na dostarczenie mi dowodów, że to mogło być morderstwo. Pomimo, że w nocy łało, czyli pewnie była burza, a lekarz z pogotowia powiedział, że tych trzech zginęło od porażenia prądem. Owocnej pracy, cześć wszystkim.

W takich sytuacjach Grzegorzycy zawsze miał ambiwalentne uczucia. Z jednej strony wściekał się na lenistwo i niekompetencję Cichockiego, a z drugiej cieszył się, że ten nie będzie mu przeszkadzał chociaż przez trzy dni. Wymienił z technikami porozumiewawcze spojrzenia i też wyszedł na zewnątrz. Obserwując odjeżdżającego prokuratora, a potem swoich mundurowych kolegów sprawnie radzących sobie z gapiami, rozmyślał nad tym, co go czeka. Przede wszystkim spotkanie z rodzinami denatów.